TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

ŹRÓDŁA ROZKŁADU ZACHODU. NA BEZDROŻACH INDYWIDUALIZMU

Piotr Ewertowski · 26 kwietnia 2021



Wielu konserwatystów powiedziałoby, że największymi bolączkami współczesnego świata Zachodu jest laicyzacja lub bliżej nieokreślone „lewactwo". Ja powiem, że głównym problemem jest współczesny liberalizm oraz wypływający z niego indywidualizm, który rozbija nasze wspólnoty. Kościół zaś, który został tym liberalizmem w dużym stopniu dotknięty, nie jest w stanie odpowiedzieć na rzeczywiste problemy Europy. A przecież tradycja katolicka ze swoim pojęciem *osoby*, dzięki któremu przekroczono podział na kolektywizm i indywidualizm, może wyjść nam naprzeciw.

Szczęście osobiste i brak cierpienia jako najwyższa wartość

Zachodni indywidualista dostrzega swój ostateczny cel w samorealizacji i urzeczywistnieniu wszystkich swoich pragnień. Poza obiektywnymi czynnikami jak zdrowie czy stabilność finansowa, to samospełnienie ma wybitnie subiektywny charakter i oparte jest na jednostkowym odczuwaniu oraz braku cierpienia. Tak rozumiane osobiste szczęście jest tutaj podniesione do rangi najwyższej normy moralnej. Chantal Delsol, francuska filozof, nazwała nawet to „czucie" nowym kryterium godności. Jeśli coś jest dobre albo złe, to nie z przyczyny swojego obiektywnego charakteru lub odniesienia do nienaruszalnej zasady, lecz z powodu przynoszenia radości lub zadawania cierpienia. Dlatego w dyskusjach o aborcji jej zwolennicy chętnie posługują się argumentem o nieodczuwaniu przez płód bólu, a poplecznicy eutanazji wołają do

naszych sumień o skrócenie nieznośnego cierpienia. Stąd też silny kult bycia ofiarą – modne i pożyteczne jest dzisiaj być „represjonowanym" czy „dyskryminowanym". Tym argumentem niestety chętnie posługują się też niektórzy katolicy, gdy nie mają już siły odeprzeć ataku przeciwników lub odwracają wzrok od problemów wspólnoty Kościoła. Jednostka bowiem w tym indywidualistycznym toku rozumowania nie posiada godności sama w sobie, nie jest już *osobą* jak w chrześcijaństwie, lecz wartość jej życia zależy od warunków zewnętrznych. We współczesnym liberalizmie lewicowym jest to możliwość bycia „szczęśliwym" i nieskrępowanym wspólnotowymi zobowiązaniami, które są traktowane jako opresja. Nie istnieje także obiektywna moralność, ponieważ ostatecznie jest ona zależna od indywidualnej decyzji. Obecna, odcięta od swych prawdziwych korzeni ideologia praw człowieka, choć odwołuje się do godności osoby, to jednak wyraźnie rozwija się w kierunku jej poniżenia. Roszczenia wyemancypowanej jednostki, które znajdują swoje ujście w coraz to nowych „prawach człowieka", skupiają się na zmiennych i w gruncie rzeczy subiektywnych czynnikach, mających zapewnić osobiste *szczęście*. Ludzie, którzy w jakiś sposób nie są zdolni doznawać tak rozumianego *szczęścia*, przestają być w końcu „w pełni" ludźmi. Cała więc ta „uniwersalność" czy „nienaruszalność" praw człowieka jest w tej perspektywie niewiele warta.

Ze słusznym oburzeniem spotkała się informacja, że Islandia „wyeliminowała" zespół Downa. Oczywiście za pomocą habermasowkiej eugeniki liberalnej. Kari Stefansson, założyciel firmy deCODE genetics z siedzibą w Reykjaviku, miał nawet stwierdzić, że likwidacja tej wady (nie przeszło mu chyba przez gardło „chorych osób") jest może trudną decycją, lecz słuszną. Hiszpański lewicowy rząd z kolei kierując się niezmiernym „współczuciem" wobec cierpienia schorowanych osób, zalegalizował w marcu tego roku eutanazję. Dla wygody ewentualnych zainteresowanych wspomaganym samobójstwem, „usługa" może być z dostawą do domu. Bardzo symptomatyczne są słowa hiszpańskiej minister zdrowia Caroliny Darias o tym, że sprawiedliwym jest, by każdy mógł „uniknąć cierpienia". Należy tutaj dopisać – za wszelką cenę. Można się bulwersować, lecz jest to prosta konsekwencja liberalizmu. Indywidualista bowiem jest nihilistą i lęka się cierpienia dużo bardziej niż ognia. Niestrudzenie wierzy, że nadejdzie dzień, gdy w końcu uda się je całkowicie wyeliminować. Nie ma oczywiście nic dziwnego w unikaniu cierpienia tam, gdzie jest to możliwe w sposób etyczny – to postępowanie bardzo zdrowe. Każdy jednak, kto pożył trochę na tej ziemi, dobrze wie, że często nie da się go ominąć. Co więcej, budowanie głębokich relacji międzyludzkich, pokonywanie własnych słabości czy po prostu miłość, nierozerwalnie wiążą się na tym świecie z koniecznością doznawania i zwyciężania dyskomfortu, a nawet bólem. Jeśli indywidualista podejmuje jakiś trud, to przede wszystkim dla własnego „samorozwoju", lecz już znieść nie może nawet konstruktywnej krytyki własnych zachowań czy odmiennych od swoich opinii, które nazywa „hejtem", „mową nienawiści" lub „obrazą uczuć". Nie tylko sam nie potrafi doświadczać cierpienia, lecz także usuwa je sobie sprzed oczu. W filmie „Niebiańska plaża" główny bohater trafia na jedną z rajskich wysp Tajlandii, zamieszkaną przez wykorzenionych globtroterów. Jest to swoista utopia, miejsce wolności i szczęścia, gdzie wyemancypowane jednostki odnajdują substytut wspólnoty. Szybko jednak objawia się kruchość tego systemu pozbawionego społecznych zobowiązań, opartego jedynie na indywidualnym i subiektywnym poczuciu szczęścia. Jedna z osób zostaje pogryziona przez rekina. Na wyspę nie może jednak przypłynąć lekarz. Gdy poszkodowany zaczyna wyć z bólu, reszta grupy postanawia zostawić go samemu sobie w odosobnionym miejscu poza obozem, skąd nie słychać będzie jego krzyków. Główny bohater zauważa, że lepiej byłoby dla tego człowieka umrzeć. Widok cierpienia i konieczność słuchania pełnych bólu jęków wprowadza bowiem dyskomfort i uniemożliwia doznawanie szczęścia. Co więcej, może wzbudzić nie-

przyjemne wyrzuty sumienia.

> Na tej samej zasadzie lewicowy liberał oburza się, gdy przypomina mu się o godności osoby umocowanej na stałym fundamencie, w co on rzekomo święcie wierzy, albo mówi się o konieczności społecznych powinności. Z paniką więc zasłania oczy przed bilbordem z człowiekiem w fazie prenatalnej lub grafiką promującą wierność małżeńską.

Myśląc, że jest przebiegły, domalowuje napisy o akceptacji osób LGBT przed narodzeniem lub wiesza plakaty o bezwarunkowej miłości rodziców wobec dzieci, ukazując tak naprawdę rażącą niespójność swojego rozumowania. Wyraźnie też widać, że jego przesłanki nie bazują na godności osoby, lecz na jednostkowym i subiektywnym poczuciu *szczęścia,* oderwanego od wspólnoty, odpowiedzialności i poszukiwania obiektywnego dobra. Stąd sprzeciw wobec legalizacji związków tej samej płci traktowany jest jako złamanie najwyższej zasady moralnej.

Katolicy, których te imitacje ich własnych bilbordów miały oburzyć, w pełni jednak zgadzają się z postulatem, że także homoseksualista ma prawo do życia i nie należy wobec niego stosować przemocy. Nie dlatego jednak, że należy mu się szczególne wsparcie, także ze strony państwa, dla jego sposobu życia według własnego subiektywnego i indywidualnego osądu, lecz dlatego, że ma nienaruszalną godność i posiada taką samą wartość jako osoba jak każdy inny, bez względu na to, czy spełnił kryterium *osobistego szczęścia*.

CZYTAJ TAKŻE: Kościele, dlaczego mówisz do mnie po chińsku?

Ten rodzaj indywidualizmu wszedł wraz z liberalizmem także do Kościoła i bardzo wygodnie się rozsiadł. „Postępowi katolicy" przyjmują tą samą najwyższą zasadę moralną, co liberalni indywidualiści i z wielką niechęcią odnoszą się do Krzyża, umartwienia, pokuty, a obiektywnie istniejące cierpienie uważają za zło absolutne. Liberałowie zamienili Dobrą Nowinę w ewangelię sukcesu i dobrego samopoczucia, a przecież Chrystus nie umarł jako zwycięzca na sposób tego świata.

Liberalny katolicyzm, który poraził także wielu z tych, idących dzisiaj na sztandarach Tradycji i prawicy, formuje ludzi słabych i zastraszonych. W ekstremalnych przypadkach szuka się w religii poczucia wewnętrznego zaspokojenia oraz używa jej jako leku na własne lęki, problemy emocjonalne i psychiczne (albo nawet do leczenia depresji!). Zwiedzeni poszukiwacze dobrego samopoczucia łatwo mogą wpaść w ręce takich manipulatorów, jak głośny ostatnio przypadek Pawła M.

> Wszystkie wielkie kultury świata w jakiś sposób promują tych, którzy potrafili czynić niezwykłe rzeczy mimo cierpienia, jakie z tym się wiązało, potrafili się poświęcić i rezygnować z własnego interesu dla jakiegoś dobra, a ostatecznie nawet oddać życie. Twierdzenie, że nie jesteśmy już do tych ideałów zdolni jako społeczeństwo XXI wieku jest wyjątkowo upokarzające.

Wykorzenienie i rozbicie wspólnot

Najbardziej tragicznym skutkiem indywidualizmu, pierzchającego przed powinnością i nieuniknionym cierpieniem, jest zerwanie więzi społecznych. Każda bowiem głębsza relacja międzyludzka opiera się na wzajemnych zobowiązaniach i jest związana z samopoświęceniem i determinacją. Małżeństwo i rodzicielstwo, czyli podstawa zdrowego społeczeństwa, szczególnie wymaga trwałości, walki z własnym egoizmem i przyjmowania cierpienia, które może się z tym łączyć. Liberalny nihilista, który przed tym ucieka, nie stworzy prawdziwych przyjaźni ani miłości, raczej powtórzy za Sartrem, że drugi człowiek to piekło. Paradoks polega na tym, że to właśnie silne więzi społeczne czynią nas szczęśliwymi.

Atomizacja społeczna i przeraźliwa samotność człowieka Zachodu (ale już nie tylko!) jest faktem, nawet jeśli na pierwszy rzut oka tego nie widać. Raphael Glucksmann, francuski lewicowy europoseł i filozof, opowiadał kiedyś o spotkaniu z emerytowanym hutnikiem, który mówił o swoich doświadczeniach wspólnoty jako działacz związku zawodowego oraz robotnik w fabryce. Ów człowiek pracy nie mógł się nadziwić, że jego synowie pozamykani w dostatnich domach, cały czas się czegoś boją i są bardzo samotni. „Jesteśmy dziećmi pustki" – konkluduje Glucksmann.

Jest to bowiem błędne koło. Poluzowanie więzi społecznych potęguje strach przed cierpieniem. Znikają już krewni, którzy mieszkają niedaleko i mogliby zająć się gromadką dzieci, gdy trzeba załatwić jakieś sprawy w mieście. Coraz mniej bliskich, którzy pomogą, jeśli coś się nie uda lub wydarzy się jakieś nieszczęście. Liberalne społeczeństwo uczy indywidualistę, że musi dążyć do wszystkiego sam, nie oglądając się na innych. Postawa wielu kobiet w czasie niedawnych protestów anty-life w wielu wypadkach nie tyle wynikała z egoizmu, co z utraty poczucia bezpieczeństwa, jakie zapewnia silnie zintegrowana wspólnota. Tradycyjnie ojciec, który uciekał przed odpowiedzialnością za życie, które się poczęło, okrywał się wielką hańbą. Liberalna kultura XX wieku zdjęła zeń tę powinność, a z lekkoducha indywidualisty uczyniła bohatera dla młodzieży. Dzieci, także te niepełnosprawne, wychowujące się bez ojca, który gdzieś zniknął lub jest prawie nieobecny w ich życiu, stały się zjawiskiem dość powszechnym. Wiele kobiet zapragnęło po prostu tego, co wcześniej liberalizm zaoferował mężczyznom. Wszyscy równi wobec roszczeń indywidualistycznej kultury.

Oderwana jednostka nie widzi trosk swoich najbliższych, lecz emocjonuje się tym, co pokażą jej w internecie o wydarzeniach na innym kontynencie lub o sprawach wręcz wyimaginowanych. Chce ratować cały świat, lecz nie ma ochoty rozwiązywać problemów lokalnych, więc mimo górnolotnych deklaracji nie przyczynia się do żadnej sensownej zmiany. W 2019 roku w Koninie policjant podczas interwencji zastrzelił 21-letniego Adama. Śledztwo w tej sprawie ciągnie się do dzisiaj, a winny funkcjonariusz wrócił do pracy. Skazany natomiast został ojciec zabitego chłopaka, za nawoływanie do nienawiści. Czy kogoś ta sprawa interesuje albo ktoś o niej pamięta? Nawet wielu koninian już chyba zapomniało. Natomiast morderstwo George'a Floyda, bez wątpienia okrutne i barbarzyńskie, interesuje wszystkich, „wrażliwa społecznie młodzież z dużych miast" zaś wyszła na ulice, by walczyć z rasizmem w USA. Jakkolwiek rasizm jest godny potępienia, a Stany Zjednoczone rzeczywiście się z nim borykają, to jednak ta kwestia dotyczy nas dużo mniej niż rzesze Polaków, którzy pracują na śmieciówkach i z trudem utrzymują swoje rodziny. Tych Polaków można nazwać „faszystowską tłuszczą", która jest na tyle „ciemna" i „niewyedukowana" (i wcale w tych epitetach nie ma nic rasistowskiego), że nie rozumie ogromnych katorg, jakich doznaje wielkomiejski liberał, gdy w swoim mieszkaniu w centrum musi znosić *mansplaining* w mediach społecznościowych. Jak żyć, pani Butler, jak żyć.

> Skoro indywidualizm czyni człowieka wykorzenionym, bez stałej tożsamości i często bez trwałych zobowiązań, to uczy go również nie akceptować nakładanych na niego przez wspólnotę powinności, a więc wyrzekać się jej, gdy tylko poczuje się mniej komfortowo lub zacznie się od niego wymagać szczególnego zaangażowania w budowanie dobra wspólnego.

Nie tworzy zazwyczaj więc stabilnej rodziny i nie przestrzega małżeńskiej wierności, bo to wymaga wyrzeczenia i podporządkowania się nienaruszalnym zasadom mimo trudności, jakie z tym się wiążą. Niewiele obchodzi go pielęgnowanie naturalnych więzi czy potrzeby społeczności lokalnej. Często nie podtrzymuje stosunków z rodziną czy zrywa „przyjaźnie", gdy tylko uzna, że kosztują go one zbyt wiele, i nie jest tu mowa oczywiście o sytuacjach naprawdę toksycznych. Szybko na myśl przychodzi mi wielu Europejczyków napotkanych w Azji, którzy nawiązywali jedynie płytkie i przelotne znajomości, bo „są tutaj tylko na chwilę". Indywidualista potrafi się przeprowadzić z bloku do domku pod miastem, lecz nadal nie wie, kim jest jego sąsiad. Niemal zupełnie zapomina o tożsamości narodowej czy konieczności działania na rzecz jego dobra. Wygodniej mu być kosmopolitą, który obraża się na swój naród, gdy ten nie spełnia jego roszczeń, ale przeprowadzając się do innego kraju nadal jest człowiekiem z zewnątrz, który walczy z „opresją" narzucaną mu przez normy moralne. Sama migracja ma pewne odzwierciedlenie w koczowniczej historii człowieka, ale wszak miejscowa społeczność ma prawo nie zaakceptować przybysza, który odmawia nie tylko przyjęcia jej zasad, lecz także nie chce mieć udziału we wzajemnych zobowiązaniach. Wspólnota bowiem właśnie na nich się opiera i jedynie dzięki nim funkcjonuje. Jeśli jednostka rości sobie jedynie prawa, a wyrzeka się powinności, społeczeństwo szybko ulega rozkładowi albo staje się przywilejem nielicznych, którzy nie potrafią pojąć dlaczego mieliby finansować ze swoich podatków „darmozjadów" pobierających 500+. Taka osoba nie czuje więzi z członkami narodu, którym się wiedzie trochę gorzej. Indywidualista szybko staje się człowiekiem bez rodu, bez historii i bez obyczaju, który kształtowałby jego samoidentyfikację i sposób postępowania.

> **Mimo swoich deklaracji liberalizm nienawidzi różnorodności, bezwzględnie ją bowiem niszczy. Wykorzenione ze swoich tożsamości jednostki łatwo przeobrażają się w zglobalizowaną i bezkształtną masę, jednakową, szarą i nudną. Może różnią się kolorem skóry czy pochodzeniem, lecz nie są w stanie dzielić się pięknem własnych kultur czy wielkimi wartościami swoich tradycji, z których się wyemancypowali. W efekcie więc indywidualista traci swoją prawdziwą indywidualność i wpada w ręce sztucznych kolektywów, wszechwładnego państwa lub despotyzmu wielkich korporacji.**

Lewica, choć ma tę wyższosć nad liberalizmem, że posiada zmysł wspólnotowy, to sama uległa pułapce emancypacji i wraz z liberałami przekracza kolejne bariery wykorzenienia – z tożsamości płciowej, a nawet gatunkowej, dążąc ku jednemu panteistycznemu kolektywowi. Establishment lewicy nie tworzy już więc społeczności ludzi pracy oraz osób pomagających rzeczywiście wykluczonym, lecz w przymierzu z liberalizmem niszczy resztki tego, co budowało jakąkolwiek różnorodność i prawdziwą wspólnotę.

Chrześcijaństwo i społeczeństwo równowagi

Indywidualizm okazuje się zatem prowadzić do nowej wersji brutalnego kolektywizmu, w którym zabijało się ludzi „mniej przydatnych", a chore i słabe niemowlęta zostawiało na śmierć w górach. Cała ta niezależność wyemancypowanej jednostki, z którą lubi się ona obnosić jako wyróżnikiem jakiegoś szczególnego statusu, ostatecznie czyni ją tak zagubioną i samotną, że pcha ją w ramiona totalitarnych idei. Człowiek Zachodu chcąc się uwolnić od wymogów wspólnot naturalnych staje się częścią bezdusznego kolektywu. Amator wolności zostaje zaprzęgnięty w poczet niewolników. Jest to tym bardziej dramatyczne, że nie zdaje on sobie sprawy z własnej niewoli. Skrajnymi przypadkami z nie tak dalekiej historii były marksizm i narodowy socjalizm, które powstały niejako w reakcji na liberalizm i – odwołując się do sztucznie wytworzonych więzi (międzynarodowa klasa robotnicza lub rasa aryjska) – obiecywały nowe społeczeństwo.

CZYTAJ TAKŻE: Mit neutralności światopoglądowej państwa

Świat zachodni targany rewolucjami, które odcięły nasze cywilizacje od wielowiekowych tradycji budowanych przez pokolenia, ogranicza swój rodowód do niezbyt odległej przeszłości, a obecnie burzy nawet pomniki upamiętniające swoich niedawnych bohaterów. Ma więc niewielkie szanse w starciu ze starożytnymi i dumnymi cywilizacjami Wschodu, które zachowały ciągłość tradycji, sięgających tysiące lat.

> **Wielkie bowiem idee i systemy społeczno-polityczne są zbiorowym wytworem wielu pokoleń, nie zaś garstki jednostek, które samozwańczo uznały się za mądrzejsze od swych przodków. Cywilizacja, kultura i naród to dzieło wspólnoty rozciągającej się głęboko w przeszłość i wybiegającej daleko w przyszłość. Wspólnota ta zachowuje to, co dobre, a poprawia to, co okazało się niewłaściwe. Nigdy jednak nie powinna burzyć fundamentów, na których została zbudowana. Nikt bowiem sam z siebie w intelektualnej i materialnej próżni nie jest w stanie „odkrywać" ani tworzyć. Zbieramy to, co inni wcześniej zasiali, aby obsiać jeszcze lepiej.**

Wielka szkoda, że nieustannie odcinamy się od swoich źródeł, bo Europa już kiedyś przełamała podział między kolektywizmem a indywidualizmem, rozwiązała konflikt pomiędzy wolnością człowieka a dobrem wspólnoty. Dokonało się to za sprawą chrześcijaństwa, które wniosło w kulturę Zachodu pojęcie *osoby*, nieznane w żadnej innej cywilizacji.

Rozważania teologów o hipostazach Trójcy Świętej doprowadziły w końcu do sformułowania pierwszej ważnej definicji *osoby* przez Boecjusza w VI wieku. To zaś umocniło ewangeliczne przesłanie o wartości i godności każdego człowieka. Paradoksalnie nie byłoby indywidualizmu, liberalizmu ani nawet marksizmu bez chrześcijaństwa. Te idee, choć mające swoje bardzo odległe źródło w Ewangelii, to w wyniku odcięcia od swych korzeni, stały się absolutnym przeciwieństwem tego, z czego powstały. Tylko bardzo powierzchownie patrząc na życiorysy świętych można się w nich doszukać sylwetek rewolucjonistów, protomarksistów czy buntowników występujących przeciwko wspólnocie. Przeciwnie, jeśli nie zgadzali się oni ze swoją społecznością, to ze względu na jej obiektywne dobro nie tworzyli kulturowej rebelii, która miałaby ją zniszczyć. Święty Franciszek sprzeciwił się rodzicom i szokował ówczesnych nie dla rozgłosu czy osobistego sukcesu, lecz aby żyć dla swych bliźnich, troszcząc się o biednych i chorych. Chrześcijanin jest

wolny, by kochać. Europejczyk zyskał pełną odpowiedzialność za własne decyzje, lecz wybiera by służyć, nie z kaprysu, który niszczy jego więzi z innymi. Tak na przykład Kościół w ciągu wieków cierpliwie nauczał, że współmałżonkowie muszą samodzielnie zgodzić się na ślub, lecz nie ściągnął z nich powinności, jedynie wzniósł je na wyższy poziom osobistej odpowiedzialności i wzajemnego oddania równych sobie *osób*. Chrześcijaństwo likwiduje stopniowo nieuprawnione ingerencje wspólnoty, ale nie tworzy oderwanych od niej jednostek, lecz *osoby*, które w poczuciu odpowiedzialności i w posłuszeństwie wobec obiektywnego dobra, autonomicznie wybierają sposób, jak tej wspólnocie chcą służyć w zgodzie z własnymi indywidualnymi predyspozycjami. Swoich talentów używają więc nie tylko dla siebie, lecz także dla innych. Migrują i podróżują, ale pozostają zakorzenieni i oddani dobru wspólnemu, które wykracza poza świat materialny i doczesny. Dlatego mimo, że katolicyzm jest religią „nie z tego świata", to tworzy i umacnia także te „ziemskie" tożsamości, bo zobowiązuje swych wiernych do służby wobec konkretnych ludzi w konkretnym miejscu jako konkretne osoby. Nie powinno zatem dziwić, że Kościół w całej swej jedności doktrynalnej pod egidą papieża jest wyjątkowo zróżnicowany w zależności od regionu i jego tradycji. Dzięki temu mogła się dokonać wielka synteza chrześcijaństwa z myślą i tradycjami pogańskimi, które się jego nauczaniu nie sprzeciwiały. Synteza ta stworzyła Europę. Ludzie niewierzący również są spadkobiercami tego „odkrycia" *osoby.* Myślę więc, że o ten ideał nadal warto walczyć, nawet w społeczeństwie zlaicyzowanym, szczególnie jeśli nadal przerażają nas niesłychane zbrodnie XX wieku, których powtórki nie chcemy.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/zrodla-rozkladu-zachodu-na-bezdrozach-indywidualizmu/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć